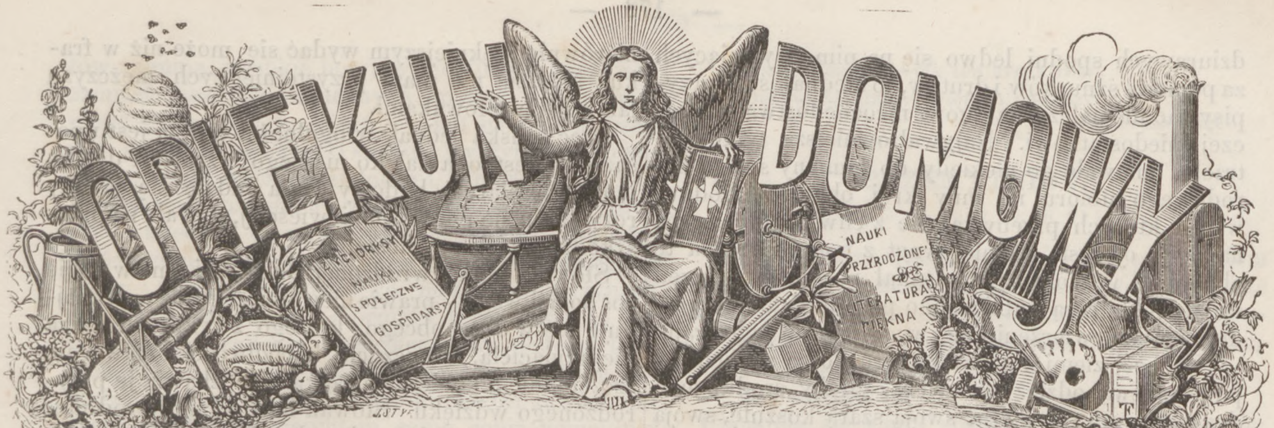



Warszawa dnia 24 Maja / 5 Czerwca 1867 roku.

Nr 23. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie.
Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok III.



## OBRAZKI Z ŻYCIA LUDOWEGO RÓŻNYCH NARODÓW
### (podług Karola Schramm)
### II.
### SŁOWACY*).

Dla określenia Słowaków, niejeden uważa za dostateczne oznaczyć ich jako rodzaj wędrujących żebraków, należących do zgnuśniałego narodu, nie znającego żadnych innych skłonności jak utrzymanie ciała, i żadnej innej rozkoszy jak napoje i sen, i że tego narodu typami są nędzarze, których znamy z widzenia jako „druciarzy, handlarzy pułapkami na myszy,” przebiegających kraj nasz we wszystkich jego kierunkach, wołając, „garnki drutować.”

Ale jak dalece odmiennem byłoby to zapatrywanie się na Słowaków, gdyby się starano poznać ich na ojczystéj ich ziemi, i gdyby umiano do nich przemawiać ojczystym ich językiem.



Słowacy.—(Rysunek Kossaka.—Drzeworyt Waltera).

Ci Słowacy, choć u nas szanowani z braterskiem współczuciem wszędzie przyjmowani, w niektórych krajach uważani są za podejrzane indywidua, przed któremi wszystkie drzwi się zamykają jak przed uznanemi złodziejami, od których z pogardą się odwraca gdy się ich spotyka na ulicy, na których z przestrachem się pogląda stykając się z nimi na drodze. A jednak są oni nie tylko najpoczciwszymi między wszystkiemi sławiańskiemi narodami, ale nawet poczciwszymi niż wszystkie niższe stany ludności Europejskich.

W podróży ludzie zwykle wypierają się swojego prawdziwego charakteru: Anglik tylko w Niemczech cierpi na spleen, podczas gdy u siebie nie jest oryginałem; Niemiec za granicą lubi przyswajać sobie burszowskie zwyczaje francuzkiego ajenta do win szampańskich; Polak na Zachodzie Europy gwałtem chce uchodzić za księcia lub co najmniej za hrabiego, podczas gdy w domu żyje oszczędnie i skromnie. Słowak przeciwnie nigdzie się nie wyrzeka swoich rodzinnych zwyczajów, jeżeli zaś nie zmienia za granicą swoich sukien i bielizny, swoich

*) Patrz N-er 43 Opiekuna Domowego z 1866 roku. *(Przyp. Red.)*

dziurawych spodni ledwo się na nim trzymających za pomocą sznurków i drutów, to niedbałość tę przypisywać nie należy nałogowi nieochędóstwa, ale raczej niedostatkowi. Najgwałtowniejsza tylko potrzeba zniewala go niekiedy do zamiany swego narodowego ubioru na inny krój obcych narodów, wśród których przebywa; ale z chwilą gdy wraca na swoją ojczystą ziemię, wnet z pogardą rzuca tę obczyznę, w którejby nie śmiał pokazać się przed swymi pod grozą publicznego pośmiewiska i wzgardy, za przeniewierzenie się zwyczajom swojego kraju.

Na obcej ziemi z największą rozkoszą zamieniłby podartą swą odzież na świeżą, gdyby środki jego dozwoliły mu odświeżać swoją szarą koszulę, swoją brunatną gubę, swoich żółtobiałych spodni, ale nie mogąc sobie sprawić nowego ubioru, macza koszulę swoją w oleju lub innej tłustości, aby nie być wystawionym na nieczystość z powodu robactwa. Swierzby i innych chorób skórnych, na jakie w wszystkich częściach świata cierpi lud ubogi i znędzniały, Słowacy wcale nie znają.

Dla tych, którzy „druciarzy” uważają za istoty upośledzone, zda się to może być naciąganem lub niewiarogodnem jeżeli im powiemy, że szczep Słowaków liczy się z powierzchowności do najpiękniejszéj, z charakteru do najzacniejszéj, a z zwyczajów i obyczajów do najskromniejszej z ras ludzkich.

Właściwy niezmięszany szczep Słowaków mieszka między Marchą i Teplą, na południe Karpat środkowych. Z jednej strony sąsiadują z Góralami i Podgóralami, mieszkańcami czesko-morawskich gór granicznych, a z drugiej z Hannokami i Morawcami od brzegów Marchy. Madźjar, właściwy mieszkaniec od południa graniczących komitatów Arwowskiego, Liptowskiego i Zipskiego, dla swojego ruchliwego temperamentu, długo nie wytrzymuje w tej ciasnej górzystej okolicy i ciągnie coraz bardziej ku płaszczyznom nadbrzeżnym Waagi i Dunaju. Od północy, Słowacy zamknięci są przez Górali i Polaków mieszkających od Nowegotargu (Neumark) aż do gór Tatrzańskich.

Z żadnym z sąsiadów swoich Słowacy nie pozostawają w ściślejszych stosunkach; z żadnym z tych szczepów nie mają jakiegoś podobieństwa. Ogólne ubóstwo ich szczepu, czyni ich celem pośmiewiska i wzgardy niektórych szczęśliwszych swoich sąsiadów. Opasły chłop Hanaski mieszkaniec niewyczerpanej chlebodajnej doliny Marchy, dozwala Słowakowi z odpadlin rzuconych psom wybierać to, co jeszcze jest pożywnem dla człowieka; a dumny Madźjar wtenczas tylko z swojej obfitości coś udziela biednemu Słowakowi, gdy przemawia doń po madźjarsku.

Lecz pomimo swojego ubóstwa, Słowacy są silnym, pięknym, dziarskim i śmiałym ludem. Słowak jest rosłym i wysmukłym, niezachwianego zdrowia, mocnych muszkułów, a przytem jak lalka regularnie zbudowanym. Ogólną powierzchowną oznaką Słowaków jest oko ogniste, czoło wydatne, długie połyskujące ciemno-brunatne włosy, nieporównanie piękne zęby, a gdy się znajduje między swoimi, odznacza się światłością i otwartością bez żadnego odcienia bezczelności; do tego dodać należy jeszcze małą zgrabną nogę, której w „druciarzu” odzianym w kawałki skóry zesznurowanych dratwami, niktby zapewne się nie domyślił.

Trzeba się tylko umieć otrząść z niektórych uprzedzeń cywilizacji, aby poznać iż człowiek w gubie, nierównie piękniejszym wydać się może niż w fraku. Nigdzie nie masz przystojniejszych mężczyzn jak między Słowakami.

Płeć żeńska jednak w ogólności gorzej jest uposażoną. Jest ona daleko niższego wzrostu i daleko mniej regularnej budowy ciała i zdaje się jakoby rozwijaniu się piękności niewieściej, stawały na przeszkodzie ucisk i niedostatek.

Słowak mimo wrodzonej śmiałości, ma w sobie coś bojaźliwego — prawie niewolniczego, ile razy znajduje się w obec obcego, ktorego zwykle uważa za nieprzyjaciela. To uczucie bojaźliwości objawia się szczególnie u kobiet Słowackich i pozbawia je przyrodzonego wdzięku. Słowak hartuje się wśród nieprzyjaciół; wzgardzony i znękany na obczyznie, odzyskuje swój właściwy śmiały charakter, z chwilą gdy wraca do swoich; ale dziewica słowacka nie posiada tej sprężystości, w całej jej istocie góruje skłonność do melancholji, w skutek której mało się udziela i mimowolnie odwraca od siebie uwagę.

Ubiór kobiet jakkolwiek bardzo prosty, nie nosi już na sobie znamienia czysto narodowego. Strój świąteczny składa się z kolorowego stanika, niekiedy galonkami obszytego, jak to w Czechach i Morawji jest zwyczajem; sięga aż po biodra i zapięty jest niżej piersi, którą w ten sposób wraz z ramionami i szyją zupełnie swobodną zostawia. Koszula z bielonego płótna, krótka czerwona suknia, purpurowe pończochy w fałdy ułożone z niebieskiemi i czerwonemi wstęgami (w nizinach dziewczęta słowackie noszą węgierskie ciżmy, to jest wysokie bóty z cienkiej skóry, ozdobione kutasikami) i biały fartuch kartonowy, nieco dłuższy jak suknia — to jest ich strój świąteczuy. Co do koloru i kroju, jest to mięszanina węgierskiego i czeskiego ubioru. Nieodzowny naszyjnik z czerwonych paciorków szklannych, jest także nowością w ostatnich czasach z Czech wprowadzoną.

W dniach powszednich jednak ubiór ich zupełnie odpowiada ubiorowi mężczyzn; gruba nie bielona koszula ułożona w naturalne fałdy z długiemi szerokiemi rękawami, szare krótkie odzienie sukienne pasem u bioder związane i grubej roboty sandały, które w ogóle dla naszych najmniejszych nawet nóżek kobiecych byłyby za ciasne — to jest cały ich ubiór; w zimie przybywa jeszcze rodzaj półbucików wełnianych własnej roboty i prosty kożuch barani, którego i mężczyzni używają.

Ubranie głowy u Słowaczek bywa zwykle takiem jak u Madźjarek tam, gdzie jako niepotrzebny dodatek do stroju, nie weszła jeszcze mała czapeczka z Polski lub czerwona chustka z Czech. Obfite, ciemno-brunatne jedwabiste włosy, starannie bywają przygładzone i splatane w gruby warkocz, u którego końca znajdują się wplecione wstążki czerwone, białe i zielone.

Szczególnym i wiele znaczącym zwyczajem, dziewica słowacka od tej Niedzieli, w której poraz pierwszy uzyskała sobie „swojego” tancerza, nie nosi więcej białej wstążki u warkocza i pomimo obyczajności i wstydliwości tam panującej, cała młodzież obojej płci pogardziłaby dziewicą, która będąc zaręczoną, ważyłaby się nosić białe wstążki.

Ubiór świąteczny mężczyzn, którego Słowak idąc na wędrówkę nigdy z sobą nie zabiera, mało się różni od poprzedniego, tylko że miejsce szarej niebielonej koszuli zastępuje biała z szerokiemi rękawami i wywróconym kołnierzem, a w miejsce sanda-

łów zajmują wysokie bóty; w niektórych miejscach zamiast ciasnych sukiennych spodni, noszą białe niane gatie (gacie). Właściwy ich strój świąteczny jest gunia, to jest krótki surdut wyszyty kolorowemi, po większej części zielonemi sznurkami a u majętniejszych ozdobiony złotemi kutasikami. I guba ich świąteczna, wyszytą jest sznurkami i kutasami.

Zatrudnieniem Słowaków w okolicach górzystych Arwy i Waagi jest rolnictwo, na samych wyżynach mieszkają tak zwani Horniaki (Górniaki), to jest pasterze prowadzący życie koczujące podczas lata. Rolnicy na wiosnę poruczają im swe bydło, a pasterze z całemi swemi rodzinami chodzą za stadami, które wiedzione instyktem same sobie wynajdują miejscowość najlepszą paszę dające. Tak postępując w ślad za roślinnością, bydło stopniowo dochodzi do najwyższych okolic górzystych, zkąd na jesień tą samą drogą idąc, wraca do dolin.

Ale oprócz rolników i pasterzy, są jeszcze nieszczęśliwi, którzy nie znajdują zatrudnienia w żadnym z tych zawodów; są to „remeselniki" (rzemieślnicy). Zajęci są zwykle górnictwem w hutach, ci zaś z nich którzy i tutaj zatrudnienia dostać nie mogą, zmuszeni są szukać chleba za granicą, a to są właściwie nasi znajomi „druciarze."

*(Dokończenie nastąpi).*

## KRZAK RÓŻY.

Tam na rozdrożu w bezludnej stronie,
Krzak róży białej—kwitnie i wonie...
Kto go posadził—po co zasadzał?
Żeby podróżnym tylko zawadzał?
Bo któż tu przecie, przy nim usiędzie,
Kto jego wonią pieścić się będzie?
Od spieki, chłodu, kto go ochroni,
I chwast wypiele, owad odgoni?
O! po cóż było roślinkę biedną,
Na tem pustkowiu zasadzać jedną?

A może, znak to jakiéj pamiątki,
Ha! patrz! tam krzyża zczerniałe szczątki,
Drzewo spruchniałe, wygląda z ziemi,
Pomiędzy róży listki świeżemi...
Pobożni ludzie, resztki święcone,
Szaleństwem wichru na step rzucone.
Znać, na wioskowy cmentarz odnieśli,
Zanim krzyż nowy, wyjdzie z rąk cieśli!
A zanim stanie—ten krzaczek róży,
Jak wprzódy, świętych strzeże podnóży.

Krzaczek ten wątły i taki drobny,
A taki wonny, taki nadobny,
Znać posadzony dłonią ofiarną,
I znać ofiara nie była marną,
Gdy przy rozdrożu, na skwarze, chłodzie,
Rośnie tak ślicznie—jakby w ogrodzie,
Jakby miłośna ręka starannie,
Tu piastowała go nieustannie,
I pośród burzy—zda się go mija,
Nawet kurzawa, którą wiatr wzbija.

Tak—kto to życie pojął ofiarnie,
Kto się do krzyża sercem przygarnie,
I krzyż swój weźmie—i drogą krzyża,
Przez świat, ku niebios progom się zbliża,
Ten nie złamany trudem i znojem,
Ubłogosławion duszy pokojem,
Choć się nieprawość ludzka wytęży,
Lecz go nie złamie i nie zwycięży,
I jasny, czysty—jak ten krzak róży,
Dotrwa na straży świętych podnóży.

*Jan Prusinowski.*

## PRZEMYTNICY.

(*Dokończenie.* — Patrz Nr. 20, 21 i 22).

Niebacząc na to, drzwi do drugiej izby popchnąłem otworzyły się.... ciepło przyjemne, światło rzęsiste oblało mnie całkiem, ale gdym miał próg przestępować, zaszedł mi drogę człowiek jakiś i z pięścią podniesioną zakrzyczał.

— Nie wchodź tu!

Chciałem się z nim sprobować, ale nadaremnie; nieposłuszeństwo drogo opłacić musiałem, nieznajomy bowiem porwał mnie w pół i uczułem że jakby w żelaznych zostając kleszczach wyniósł do pierwszej izby, rzucił na ziemię i prędzej nimem się opamiętać zdołał, ukląkł na piersiach i dusić mnie zaczął, a tak to robił zręcznie, tak szybko, że już przytomność tracić począłem...

— Gabrysiu wołała nań kobieta—zostaw, zjedzmy wprzódy wieczerzę, zostaw go...

— Ha przeklęte plemię....ja go nauczę—doktór, doktór, a drogę mi wciąż zachodzi... i dusił coraz bardziej...

— Ale zostaw, ja chcę, ja każę, potem z nim zrobisz co zechcesz.

Oprawca nie słuchał; porwała go więc za ręce, i rozpoczęła się walka tych dwojga ludzi na moich piersiach, straszna, zapamiętała: kobieta bezsilna wobec opryszka nie była nawet w stanie zasłonić wszystkich ciosów we mnie skierowanych, to też rozwścieklony, odpychał ją nieustannie lewą ręką, za to prawą energiczniej działał; pięść jego jak młot żelazny spadała na moją czaszkę, na żebra... ból wielki powoływał mnie do życia na chwilę krótką, a potem odbierał przytomność...

— Dziś święta wieczerza, mój drogi,—szeptała kobieta—zjedz zemną świętą wieczerzę, a potem go dobijesz... mój drogi...

Uderzenia coraz rzadsze, pocałunki coraz częstsze za to i to wszystko na mojej piersi; nareszcie odciągnęła go w stronę, życie wstępowało we mnie, po chwili odzyskałem zupełną przytomność, ból w piersiach, ból w gardle straszną mi rzeczywistość przypominał: we drzwiach do drugiej izby prowadzących stała kobieta, owa orędowniczka moja, niepierwszej młodości, choć ładna ale dziwnie złemi czarnemi oczami wlepionemi we mnie, za jej pleców wyglądało dwóch chłopaków drągalów głupowato mi się przypatrując, a po izbie latał zaperzony i rozszalały Gabryel... był to on, ale jakże mi się strasznym wydał podówczas. Mówią uczeni, że twarz zbrodniarza odwzorowuje się w chwili konania w rogówce oczów mordowanej przezeń ofiary, twarz Gabryela wycisnęła się podobno w mojej pamięci— dziś jeszcze potrafiłbym ją odmalować: śniada, pociągła, ubrana w niskie czoło nad którem jeżył się czarny włos krótko przystrzyżony, nos duży, równy, zaostrzony, usta zaciśnięte, a z pod brwi gęstych zwieszonych wyglądały małe biegające piwne oczy; ubiór jego składał się z kożuszka ściśniętego szerokim pasem i z butów po za kolana sięgających; latał on po izbie kilka minut, wściekłość miotała nim widocznie, nie mógł nad sobą zapanować, dopiero głos kobiety molestującej przywołał go do przytomności.

— Chodźmy Gabrysiu, wieczerza już gotowa.

— Wstawaj—zawołał Gabryel zatrzymawszy się i szarpiąc mnie za rękę.

Zmęczony i zaplątany w duże i ciężkie futro nie mogłem się ruszyć, chociaż wyznaję otwarcie, chciałem być posłuszny woli rzezimieszka.

Podnieście go chłopcy i posadźcie go na zydlu, potem z nim się rozprawimy.

Po spełnieniu rozkazu, towarzystwo całe pociągnęło do drugiej izby, drzwi zostały zamknięte, świeca zgasła—zostałem sam; a wiatr bił o ściany zewnątrz domostwa, dzwonił w małe okienka, wciskał się do komina i piszczał jakąś piosnkę szatańską, nie było w niej płaczu, tylko śmiech ale jaki... jaki...

Po dobrym kwadransie czasu przytomność mi wróciła zupełna, za to siły opuściły najkompletniej, nie byłem w stanie podnieść się z miejsca. Pojmowałem całą okropność mojego położenia, ale jak zaradzić złemu nie wiedziałem zgoła: uciekać? kiedy wstać nie mogę; prosić o życie? nigdy, duma nie pozwalała mi się upokorzyć; bronić się? chyba pięścią spuchniętą w skutek uścisków Gabryela... Nie pozostawało więc nic jak czekać spokojnie losu, jaki mi zgotowała psotna zawieja śniegowa, bo wiedziałem że ztąd nie wyjdę; Gabryś nie przebaczał nikomu, a tem bardziej nie przebaczy mnie, który naszedłem jego legowisko, odkryłem jego kryjówkę—toż rozporządzał się tutaj jak w domu, kobieta otwierająca mi drzwi, gospodyni tej gospody miała wpływ nad nim, przewagę jakąś może zdobytą temi czarnemi oczami...

W drugiej zaś izbie było wesoło i gwarno, brzęk szklanek dolatywał moich uszu, obchodzono wieczerzę wigilijną, śmiech taki nieudany, taki szczery, że aż mi straszniej i ciężej było na sercu—trunek podobnym ludziom dodaje odwagi...

— Kiedyż się uporamy z ptaszkiem—pytał głos ochrypły.

— Tobie Mucho łapy świerzbią—przerwał mu drugi.

— Walek skoro się naje to by już spał, choć robota ważna.

— Uporamy się z ptaszkiem po wieczerzy—zawyrokował poważnie Gabryel.

— A cóż z trupem zrobicie—zapytała kobieta.

—Cha, cha, cha! zagrzmiało chórem, śmieszna babo cóż to granica daleko? przeniesiemy go przez rzekę i niech szukają wiatru w polu, czy to raz było... a Szmila znaleźli, a Josiową odszukali? grubsza to wprawdzie zwierzyna, ale i na tej sił trzeba sprobować.

Nie słuchałem już dalej... przedmiotem rozmowy byłem wyraźnie ja, wypadało się gotować do śmierci... I dziwna rzecz: zapanowałem nad sobą, odsunąłem o ile można myśl o prędkim a niechybnym zgonie i zacząłem marzyć o przeszłości; ludzie tonący opowiadają, że w chwili kiedy siły opuszczają organizm a nadzieja ratunku ginie niepowrotnie, wówczas śnią się im najpiękniejsze obrazki minionego życia, a tak wyraźnie, tak jasno, że wrażenie snu przybiera cechy rzeczywistości... toż samo było ze mną: stojąc nad grobem rozwartym roiłem o dzieciństwie, z kolei przesuwała się przed wzrokiem mojej duszy, poważna a rzewna postać matki z błogim pokojem w wejrzeniu; surowy ojciec stawał przedemną, kładł rękę na mojej głowie i wówczas uspakajała się burza pod czaszką—tak mi było cicho, dobrze; a dalej szkolne czasy, swawole dziecinne, akademja, cichy choć trudny zawód lekarski.... Ból piersi przywołał do życia—spojrzałem w koło obłąkanym okiem, ciemna izba przypominała mi straszną obecność, instynkt zachowawczy szeptał uciekaj—bo cię zamordują; zrywałem się z zydla i padałem nań bezwładny, a na jęk rozpaczy, odpowiadało mi wycie burzy za oknem i szatański śmiech biesiadujących za ścianą zbrodniarzy.

I znowu wpadałem w jakiś dziwny stan otępiałości, teraźniejszość znikała, a szara ale spokojna przeszłość roztaczała przedemną swoje złudne obrazy i wówczas zbliżony do grobu, kartkę po kartce przewracałem w tym raptularzu mieszczącym w sobie dzieje odbytej wędrówki....

Ratunku! ratunku! wołał instykt przerywając to śnienie na jawie.

I miotałem się jak szalony, choć kroku zrobić nie byłem w stanie... ha trzeba jeszcze sprobować: wytężyłem wszystkie siły by się dowlec do okna, napół drogi jednak zwaliłem się na ziemię zmęczony, pot oblewał czoło, serce się tłukło gwałtownie w piersi, chyba życie sobie odebrać, uniknę tem pastwienia się zbójców... Ale jakiż rodzaj śmierci? udusić się tylko mogłem.

— No do roboty chłopcy—zabrzmiał głos męzki za ścianą.

— Ej poczekaj jeszcze chwilkę Gabrysiu, do północka daleko, a może się i burza uspokoi— trochę wina zostało w komorze, to wam podam na zakąskę... brzęczał przymilający głos kobiecy.

— To można jeszcze poczekać—i znowu zadźwięczały szklanki.

Nie ma czasu do stracenia pomyślałem; wyjąłem więc z kieszeni chustkę, zwinąłem ją powrozowato, okręciłem na około szyi, zawiązałem i zacząłem sciskać powoli, powoli, ale co raz mocniej... czułem że już mi krew bije do głowy, oddech w piersi ustaje, tracę przytomność ale jednocześnie siły słabną, wypuszczam z obezwładnionych rąk końce chustki i znowu przychodzę do siebie, potem nowe usiłowania i nowy zawód; zły, wściekły, przeklinając siebie za brak odwagi, odrzuciłem zainprowizowany stryczek na stronę i z rezygnacyą czekałem końca...

W tem jakieś zamięszanie w sąsiedniej izbie zwróciło moją uwagę, głosy naraz ucichły.

— Ktoś stuka do okna — mówił ten co go Muchą nazywano.

— Cyt, cyt.... .

Wyraźnie trzy puknięcia miarowe dały się słyszeć...

— A to swoi—zawyrokwał Gabryel, trzeba wyjść, a ty Walku pilnuj doktora, a jak się ruszyć zechce, to mu... rozumiesz...

— Już się niebójcie, niepopuszczę ja jemu...

Gabryel spiesznie wpadł do pierwszej izby, potem na podsienie, słyszałem jak otwierał bramę, jak ją potem zamknął i rozpoczął z przybyszami półgłosem gawędę.

— Chodźmy do chaty, mówił jeden z żydowska.

— Et lepiej tu się rozmówmy.

— Dobrze wam z ciepłej izby, a nas zimno przejmuje do kości.

— No to już chyba za drugie drzwi do alkierza—ciągnął dalej Gabryel.

— W alkierzu jak w łaźni, Marjanna lubi ciepło, a my się rozbierać nie myślimy.

I czterej ludzie weszli do izby, w której jako więzień zostawałem.

— Dobra zręczność, Gabrysiu—mówił pierwszy, całe stado koni można zabrać, przez granicę w mig przesadziemy.

— Dziś nie chcę, człowiekowi odpocząć trzeba— opierał się Gabryel, niby to bezemnie nie potraficie..

— Nikt tego tak zręcznie nie umie, a dobrze wam podziękuję i to zaraz.

— Co tam podzięka—przerwał drwiąco Gabryel...

— Zapomniałeś bratku, dużoś grosza pewnie w Ubiejskie nałapał.

I mówiąc to nałożył fajkę, a potem zapalił siarnik. Błysk światła całą izbę oświecił, a że mówiący był o dwa kroki i twarzą do mnie obrócony, poznałem więc w nim Moszka z O...

Zrobiłem ruch gwałtowny, Moszko spojrzał w moją stronę i krzyknął.

— Aj waj, co pan tu robi panie doktorze...

— Nie zbliżaj się do niego, to mój więzień,—zaryczał Gabryel, stając między nami...

— Co to więzień? jaki więzień? to nie więzień a doktór z X, ja jego znam, ja jego dobrze znam, co ty Gabrysiu oszalał...

— Czy znasz, czy nie znasz, ale on już ztąd niewyjdzie...

— A *rozbójstwo*, kryminał, rozumiesz to?

— Pójdziemy razem do kryminału, albo ty lepszy odemnie, wreszcie i ciebie pozbyć się potrafię...

— No jaki ty dureń— cóż to ja tu sam, może się sprobujemy?

I w oka mgnieniu Walko i Mucha z jednej strony zbliżyli się do swego przywódcy, kiedy z drugiej trzech żydów obok Moszka stanęło.

— Tfu, zaśmiał się ten ostatni i znowu splunął, a wartoż to takie rzeczy robić, myż przyjaciele, ot puść doktora, ja ci zato dobry *geszeft* nastręczę.

— Nie puszczę—groźnie zawołał Gabryel.

Cała dotąd scena odbywała się pociemku. W tej chwili z alkierza wysunęła się gospodyni ze świecą w ręku, postawiła na stole, a sama z założonemi na piersiach rękami stanęła we drzwiach, przypatrując się gniewnie przemytnikom. Był to zły duch w tem zgromadzeniu—pod wpływem niedobrych jej oczów przywódca rzezimieszków miotał się jak wściekły.

— Co doktór tobie zawinił—pytał go Moszko.

— Wyśledził moje schronienie, kręcił się obok niego, aż mnie w niem zastał, ale też zato i sam wpadł w pułapkę...

— *Wuś?..* przeciągle zagadnął Moszko zwracając się ku mnie.

— Pierwszy raz widzę tego człowieka—odpowiedziałem z kolei.

— Milcz! zabrzmiał opryszek... Walku stul mu pysk; nóż w ręku Walka zabłysnął nad moją głową, ale w tejże chwili wyleciał z niej, zakreślił w powietrzu koło i upadł z brzękiem na ziemię, zanim wraz potoczył się wtył i sam Walko, a na jego miejscu stanął przybyły żyd z Moszkiem.

— *Purec*—proszę się nie bać, Szloma pana obroni, bo inaczej dzieci coś im dał zdrowie przeklinały by ojca.

Krok ten Szlomy uratował mi życie, wprawił w jakiś stan osłupienia obecnych; to jednak niedługo trwało, bo w okamgnieniu Gabryel sam rzucił się na mojego obrońcę: pierwszy napad rzezimieszka był straszny, nie w żyda godził, chciał tylko po zanim pchnąć mnie nożem, w kilku już miejscach przeszył nim futro, Szlama odpór dawał dzielny, ale ugodzony pięścią w bok upadł całym na mnie ciężarem. Jęknąłem z bólu, ale w tejże chwili bazyliszkowe oczy Gabryela zabłysły przedemną, wzniesiony do góry w dłoni trzymał nóż, na chwilę zatrzymał się jakby używając pewnego rodzaju natężenia, by cios był tym pewniejszy... nie mogłem się nawet zasłonić rękoma, Szloma leżał na nich całym ciężarem—śmierć czekała mnie nieuchronna, gdy w tem znowu klinga błysnęła w powietrzu, furnęła nad uchem i głęboko w ścianie wilgotnej utkwiła, Gabryel pochwycony silną ręką Moszka oparł się w drugim końcu pokoju; rzezimieszek ryknął wściekle, stanął jednak nieruchomy postrzegłszy dwie lufy pistoletowe skierowane ku sobie—towarzysze Moszka na cel go wzięli, gdy tym czasem on sam bronił się napaści kobiety, która rzuciła się na niego.

— Chcesz zgody Gabrusiu to będzie zgoda,— chodź do alkierza pomówimy rozsądnie, a nie chcesz, to cię zaraz moje chłopcy sprzątną...

Zbój posłuszny, posunął wolnym krokiem do drugiej izby, Moszko wyjął z zanadrza pistolet, opatrzył go dobrze, świeży piston nałożył i obracając się do swoich, powiedział podniesionym głosem:

— Kto się ruszy z miejsca—temu w łeb.. i zamknął drzwi za sobą.

Zostaliśmy sami: gospodyni przymknęła pod piecem, ponuro się oglądając wkoło. Walek napół leżący w kącie, Mucha zaś gapiowatym i ogłupiałym wzrokiem popatrywał to na żydów w gotowości do boju stojących, to na mnie przygnębionego moralnym wstrząsnieniem i fizycznemi dolegliwościami...

Po półgodzinnej rozmowie obaj przywódcy wyszli z alkowy; Moszko z twarzą rozpromienioną zbliżył się do mnie:

— No jedźcie do domu, ale co pan jemu zrobił że on taki na pana łakomy?.. tylko sza, nikomu ani słówka, bo będzie źle—dodał przybierając ton mowy surowy.

— Wygada, wygada, wołała kobieta—już tutaj nie mamy poco zostawać, zagranicę wynosić się potrzeba.

— Milcz babo—przerwał Gabryel, gdyby nie ty, nie siedziałbym za piecem.

I rozpoczęła się scena na pół czuła, na pół gorsząca, nie czekałem jéj końca i uradowany wywlokłem się z izby wsparty na ramieniu Szlomy i dopiero poraz pierwszy przypomniałem sobie biednego Kociołkowskiego.

— Stary, wołam zaprzęgaj—pojedziemy.

— A pojedziemy wedle rozkazania, tylko że jestem związany jak baran, a konie jeszcze nie wyprzężone.

W oka mgnieniu byliśmy gotowi do podróży. Moszko raz jeszcze wyszedł z izby:— On pana odprowadzi, dodał wskazując na Szlomę, zawieja ustała, za godzinę będziecie w domu, ja tu godzinę poczekam tylko sza...

— A bezpieczniež tu wam zostawać po tej kłótni?

— Ej, ej nie bójcie się o Moszka, Moszko wszystko obmyślał, z Gabrusiem damy sobie radę, a dwóch jego parobków to bagatela, największa lichota, inni z szajki na święta się rozeszli, najtężsi na *tamtej stronie* (za granicą) odpoczywają; mnie to na rękę, zrobię *geszeft* a taki, iż już potem, dodał tajemniczo—bezpiecznie można będzie po tej drodze jeździć.

Dalsza podróż odbyła się bez przygód; jak przechorowaliśmy potem oba ze starym wiarusem, jak ca-

łe prawie święta przesiedzieli przy mojem łóżku państwo Stolarscy, jak młoda Teresia napawała mnie tyzannami według instrukcji p. Dominiki przyrządzanemi, jak ta ostatnia dowiadywała się o stanie mojego zdrowia przez posłańców, bo sama uważała za nieprzyzwoite odwiedzać starego kawalera, choć oboje już po 50 zgórą lat przeżyliśmy na tym świecie, i jeszcze wiele jak... jak... o tem mówić nie będę, bo to wcale do opowiadania nie należy.

W kilka tygodni jechałem znowu do O., karczemka na stepie stała pustką, mieszkańcy z niej się nagle wynieśli, a wędrujący kmiecie korzystając z nieobecności gospodarzy, powydzierali drzwi i okna. W O. nie wyszedł Moszko na moje spotkanie, a Szlomy odnaleść nie mogłem: wyjechali zagranicę—odpowiedziano mi lakonicznie na zapytanie.

---

W końcu zimy, w połowie Lutego następnego roku, śnieg zginął zupełnie, błoto było potężne, nie bardzom się więc ucieszył, kiedy urząd powiatowy polecił mi w zastępstwie lekarza obwodowego uskutecznić oględziny ciała niewiadomego człowieka, znalezionego w rzece Smo. Odmówić nie wypadało, pojechałem. Po nizinie przepływał strumyk przesadnie rzeką nazwany, brzegi jego składające się z pagórków wapiennych, nagie, smutne, ogołocone ze wszelkiej roślinności, świeciły gliniastemi bokami; obok jednego z nich znaleziono ciało, które miało być przedmiotem sądowo-lekarskiego śledztwa. Trup nagi złożony był na słomie przykryty starą weretą, odkryłem ją—i postrzegłem rysy znajome: twarz pociągła, śniada, czoło niskie, duży nos z niego wyrastał, włosy czarne krótko przystrzyżone;—tak—nie mylę się,to on,—Gabryel, poznałem go.. ciało zepsute dowodziło, że dawno już spoczął snem wiecznym, na szyi miał ślady stryczka, sekcja przekonała że przyczyną śmierci było uduszenie... Zniknięcie więc Moszka i Szlomy, może miało związek z tym zgonem? najprawdopodniej, ale cóż się stało z Marjanną, czy spokojnie przebolała stratę kochanka? Wypadek następujący rzecz mi całą objaśnił.

Dla jakiegoś interesu udałem się do powiatowego miasta; o południu byłem na rynku, ale tłum ludu drogę mi zastąpił, dalej jechać niebyło możności, stanąłem na bryczce by się przekonać co jest zbiegowiska przyczyną—jedno spojrzenie odkryło mi całą tajemnice. Pośród téj ruchomej massy sterczało rusztowanie, na niem pod pręgierzem stała kobieta, kapłan wiódł z nią cichą rozmowę, po chwili usunął się, a urzędnik tuż obok pręgierza stojący rozpoczął czytanie wyroku, co czytał nie słyszałem, tłum tylko powtarzał: zamordowała męża, wieczne więzienie... spojrzałem na delikwentkę i przeraziłem się.. była to Marjanna, owa niegościnna gospodyni z karczemki na stepie—też same czarne złe oczy niespokojnie patrzące w koło, twarz blada, pofałdowana w zmarszczki, ale zawsze jeszcze piękna...

Reszty dziejów dowiedziałem się z akt u rzędowych, mógłbym z nich sporą ułożyć gawędę, ale nie chcę nadużywać waszej cierpliwości, więc w kilku słowach zakończę opowiadanie. Marjanna była żoną kmiecia, oboje mieszkali w jednej z wiosek zasuniętych w góry z piaskowca, życie im płynęło cicho, spokojnie, szczęśliwie, dostatek był w chacie, a i troje dziatek chowało się zdrowo; naraz biedny Janko (tak się nazywał mąż Maryanny) zaniemógł ciężko, choroba była długa, walka w niéj z śmiercią nieustanna, biedna żona wypłakała piękne oczy przy łóżku chorego, postarzała o lat kilka, bała się sieroctwa, choć lepiéj może gdyby sierotą została. Janko śnił raz wczasie gorączki iż wyzdrowieje, jeżeli uczyni ślub, że po ukończeniu choroby własną ręką wyrobi z ciosu statuę Zbawiciela; po takiem widzeniu sennem, wezwał kapłana do siebie, wyspowiadał się, uczynił ślub i wyzdrowiał; pierwsza jego wycieczka z domu była w góry do kamieniarzy na naukę. Bóg mu wyraźnie błogosławił, robił postępy wielkie, zakasował zręcznością mistrzów, uczynił zadość ślubowi, ale nowego zawodu już się nie wyrzekł, przeciwnie ukochał go prawdziwą miłością natchnionego—to też twarz Chrystusa rozpiętego na krzyżu wyrobiona jego ręką, taka była pełna boleści nieziemskiej, że aż się przechodzień wpatrzywszy w nią, cały żalem i skruchą przejmował; na licach Bogarodzicy tyle rozlewał miłości i słodyczy;—w oczach Jana z Niepomuk tyle wiary natchnionej—że się wszyscy dziwowali zkąd mu ten dar przyszedł; jednocześnie z wziętością i dostatek wielki zawitał pod ubogą strzechę wioskowego artysty, Marjanna żyła jak pani oddając się próżniactwu, pracować nie potrzebowała, na niczem jéj bowiem niezbywało; w tym to czasie spotkała raz Gabryela w lesie, Gabryel był młynarzem; pobór do wojska zmusił go do opuszczenia własnej chaty, tułał się więc w górach gdzie były pracownie kamieniarzy—a dla rozrywki zaczął bałamucić Marjannę, kobieta raz przeniewierzywszy się mężowi, raz stanąwszy na pochyłości, leciała szybko w przepaść. Pewnego ranku znaleziono Janka bez życia, zamordowany został, żona w raz z kochankiem zabrawszy całe mienie, uciekła, dzieci pozostały sierotami, pomarłyby może z głodu, gdyby ich poczciwi ludzie nie zabrali. Marjanna od téj pory dzieliła losy swego ulubionego, który urosł na potężnego zbrodniarza; gdy się dostał do więzienia, użyła wszelkich wpływów, by go z niego uwolnić, co się jej udało za pośrednictwem przemytników z O. uskutecznić. W wigilję Bożego Narodzenia po mojem z karczemki stepowej wyjezdzie, Gabryel wyruszył w okolicę dla dokonania kradzieży na wielką skalę—z wycieczki tej nie wrócił; Marjanna czekała na niego dni kilka, a nie mogąc go się doczekać, poszła do Moszka; przywódca paczkarzy zagroził jéj śmiercią, jeżeli milczeć nie będzie, domyślała się wszystkiego, kochanek jej nie żył... kobieta ta, która z najzimniejszą krwią zamordowała męża, dzieci własne zostawiła na pastwę nędzy, nie była w stanie przenieść ostatniej straty, natychmiast od Moszka udała się do burmistrza w O, sama się przyznała do winy, żądając sprawiedliwego ukarania i dla siebie i dla zabójców kochanka; Moszko i Szloma cichaczem i to natychmiast wynieśli się zagranicę; sąd się dowiedział że Gabryel na kilka tygodni przed tem powrócił z wielkiej a pomyślnie dokonanej wycieczki złodziejskiej, miał przy sobie dużo złota, wreszcie poczynał przemycarzom zachodzić w drogę, stawiać opór, więc pozbyli się go jak i wielu innych, ale tą razą nie bardzo szczęśliwie, bo sami musieli opuścić kraj, by uniknąć słusznej kary za zbrodnię.

---

## B A J A D E R A.

Drzeworyt na ostatniej stronie umieszczony, wyobraża indyjską tancerkę czyli Bajaderę, tańcującą pośród jaj. Taniec ten wymaga bezwątpienia

niesłychanej zręczności; to pewna jednak, że przepaska zakrywająca oczy bajadery, nie zupełnie ją zmysłu widzenia pozbawia. Bajadery są rodzajem kapłanek indyjskich i od dzieciństwa są przyzwyczajone do posług w świątyniach. Głównym atoli ich obowiązkiem, jest taniec i śpiew na cześć bóstw indyjskich. Wtajemniczone w swą sztukę od ósmego roku życia, tworząc niejako zakon baletniczo-kapłański, bajadery odznaczają się niezwykłą pięknością i wdzięcznem ułożeniem ciała. Ubiór ich malowniczy, wszakże szpecą niekiedy twarze malując je na żółto lub skrapiając farbą niebieską. Bajadery rozdzielają się na dwie klassy: pierwsza prowadzi życie zakonne i na zawsze oddzielona jest od świata; druga przeciwnie, mieszka po za obrębem świątyń i bardzo wesołe życie prowadzi. Obie klassy pobierają w świątyni naukę pisania, czytania, robót ręcznych, śpiewu, tańca, mimiki i muzyki instrumentalnej. *M. K.*

---

## POŻEGNANIE DZIEWCZYNY.

**Piosnka ludowa.**

(*Z rękopismów pośmiertnych Romana Zmorskiego*).

Tam na grzędzie macierzanka woni,
Tam na drugiej tymian wdzięczniej jeszcze. —
Najwonniejsze kwiatuszki przy ścieżce,
Co siostrzyczka nasza chodzi po niej.

,,Czemu spuszczasz wzrok w ziemię dziewczyno?
Czemu łzami twarz zalewasz młodą?
Czyż dni twoje nie radością płyną,
Młode serce czyż nie tchnie swobodą?"

,,Ach, tak! dotąd dni moje na ziemi
Lekko płyną mi swobodą złotą,
Więc jakże ich nie żegnać z tęsknotą,
Gdy się jutro trzeba rozstać z niemi?"

Z wiankiem w ręku, po łące zielonej
Chodzi dziewczę, łzy mu z oczu cieką:
,,Mój ruciany ty wianku pleciony,
Dalekoż nam trzeba w świat, daleko!...

,,Niech Bóg, ojcze, chroni twoją głowę!
Niech cię matko, chowa w pieczy twojej!
Bądźcie zdrowi, drodzy bracia moi!
I wy siostry, bądźcie, bądźcie zdrowe!..."

---

## Trzydziestoletniem przeszło doświadczeniem wypróbowany przepis na czarny atrament.

Wziąść: galasu ćwierć funta, koperwasu zielonego trzy łóty, gummy arabskiej trzy łóty; wszystko potłuc drobno, wsypać w gąsiorek i nalać na to kwartę piwa zwyczajnego i pół kwarty octu winnego; dobrze zmięszać, postawić w miejscu ciepłem, w lecie na słońcu, w zimie przy piecu. Za trzy dni atrament będzie zdatny do użytku, lecz codziennie potrzeba dobrze kłócić mieszaninę.

Atrament ten nie zlewany, lecz pozostawiony na przedmiotach użytych do zrobienia onegóż, staje się coraz lepszym i czarniejszym.

---

## PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*Przy zgodzie do służby*)

Służąca (*w tęgo krochmalnej szeleszczącej płócienkowej sukni, obejmującej szeroką krynolinę, w kapeluszu z kwiatami i z parasolką wchodzi*). Państwo podobno potrzebują służącej od Wielkanocy.

Pani. Tak jest, kucharki.

Służąca. Państwo mają młodszą?

Pani. Mamy.

Służąca. I stróż wody przynosi?

Pani. Stróż.

Służąca. A z praniem jak?

Pani. Tak jak wszędzie... Najmuje się kobieta, ale pomódz jej naturalnie trzeba.

Służąca. A to *znowuj* kto słyszał, proszę pani, żeby kucharka wtrącała się do prania. Co garnek to garnek, a co balja to balja. Ja tam nawet wody do prania gotować nie myślę. Jak mam do roboty z rosołem, to nie chcę mieć z szarem mydłem.

Pani. No, no, może się to jakoś urządzi.

Służąca. Pani sobie chyba jaką wiejską dziewkę wynajdzie, coby razem gotowała i prała. I także Pani pięknie wyjdzie... albo rosół da z mydlinami, albo panu koszule poplami pozłotą.

Pani. No już dobrze, będę brała dwie praczki.

Służąca. Ile pani daje codzień do miasta?

Pani. Rubla.

Służąca. Rubla?... to i cóż państwo jadają?... objad na cztery potrawy: barszcz z kartoflami i kartofle z barszczem. Dziękuję za łaskę!

Pani. Jadamy cokólwiek lepiej... chociaż po gospodarsku i niewystawnie... wreszcie czasem się więcej wyda... naprzykład w piątek.

Służąca. Ma się rozumieć. A czy pani sama chodzi do miasta?

Pani. Nie.

Służąca. No, to jeszcze jako tako. A może pani na książeczki bierze mięso, chleb i u kupca.

Pani. Nie.

Służąca. Bo to widzi pani teraz o wszystko się trzeba pytać, żeby wyjść na swoje... Panie jakoś pomądrzały... ale widzę że pani nie z takich... może się zgodzę, jeśli mi tu wszystko do *gusztu* przypadnie.

Pani. Wszystkie poprzednie służące bywały u mnie po parę lat.

Służąca. To i cóż proszę pani... może nie były takie delikatne jak ja.

Pani (*z uśmiechem, patrząc na czerwone póliczki służącej*). Prawda, żeś ty w istocie delikatna.

Służąca. Pani nie będzie nic zamykała przedemną, bo ja tego nielubię i pani mi niebędzie nic wydzielała, bo to do mnie należy wiedzieć co mi do objadu potrzeba.

Pani. Dobrze. Cóż więcej?

Służąca. Ja nie będę sobie zamiatać kuchni, bo ja zaraz kaszlę jak zamiatam.

Pani. Dobrze. Cóż jeszcze?...

Służąca. Oto widzi pani, ja się nazywam Agata...

Pani. Więc cóż, moja Jagusiu...

Służąca. Ale pani mnie będzie nazywała *Hortenszją*, bo Agata to brzydko, a jak mi kto powie Jagusiu, to mnie djabli *biorą* ze złości.

Pani. Nie wiedziałem Hortensjo. Może co jeszcze?

Służąca. I żeby panienka... bo panienka dziecko... żeby mówiła na mnie *panno Hortenszjo*, a ja panience—ty.

Pani. O to najmniejsza... Więc już nie masz żadnych warunków?

Służąca. Nie pani... Ale, ale... czy państwo piją czarną kawę po objedzie?

Pani. Nie codzień, czasami.

Służąca. Trzeba żeby była codzień, bo ja bym się bez tego obejść nie mogła, i żebym mogła gości przyjmować kiedy mi się podoba, bo państwu nic do tego jak ja swoją robotę zrobię.

Pani. To już zapewne wszystko.

Służąca. Tak pani (*do siebie*) to jakaś doskonała pani, głupia

jak sak.... nie trzeba się bardzo drożyć (*głośno*) Teraz co do zasług....

PANI. Pozwól... wprzód ja jeszcze mam jedno żądanie.

PANI. Oto moja panno *Hortenszjo*, żebyś mi się co prędzej wynosiła precz i żebyś wiedziała, że jeśli jaka pani takich głupstw od ciebie słucha, to tylko dlatego, żeby




Taniec pośród jaj, (do str. 183-ej).

SŁUŻĄCA. Słucham pani, byle znów nie co takiego co do kucharki nienależy.

się mogła lepiej z ciebie śmiać. Patrzaj, tamtędy drzwi do sieni.... prędko!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.—Redaktor, ADAM MIECZYŃSKI.